

Czyją własnością jest dziecko?



Wielu ludzi zapewne zbulwersuje tak postawione pytanie. Jak to?! Przecież nie można mówić o dziecku jak o przedmiocie! Jak to?! Przecież wiadomo – rodziców! Mówimy przecież: mój syn, moja córka. Moje dziecko, bo to my je przywołaliśmy na świat, dbamy o nie: ubieramy, karmimy, dbamy o jego zdrowie, żywimy, wychowujemy, uczymy, staramy się mu zapewnić dobry start w życiu... Długo by można było tak jeszcze wyliczać.

W mojej rodzinie krąży anegdota o kilkuletniej wówczas kuzynce, czekającej przed drzwiami piwnicy, do której po coś zeszli jej rodzice. Przechodzącą obok kobietę zaniepokoił widok samotnie stojącego dziecka, więc zapytała się jej: - A czyjaś ty? Dziecko rezolutnie odpowiedziało: - Mamusi i tatusia. Powiedziałałby ktoś – No tak, nawet dziecko mówi, że należy do rodziców!

Pójdźmy dalej. Dzieci idą do przedszkola, do szkoły, na studia, do pracy. I inni mówią o nich: mój wychowanek, mój uczeń, mój student, mój pracownik.

I tu już mamy pierwszą wskazówkę. To jedno małe słówko „mój” nie oznacza własności, a jedynie pewną, często okresową, przynależność, przypisanie do kogoś lub czegoś.

Poszukajmy definicji własności. Encyklopedia PWN definiuje własność w aspekcie filozoficznym jako: „najpełniejszą władzę użytkowania i dysponowania, jaką można mieć nad rzeczami (rozumianymi szeroko, od konkretnych przedmiotów fizycznych, takich jak dom, do tworów intelektu, takich jak utwór literacki czy wzór matematyczny); także sama rzecz, nad którą ma się ową władzę” oraz w znaczeniu prawnym – jako podstawową formę władania rzeczami materialnymi oraz niematerialnymi jak np. własność intelektualna. Jak więc widać, chodzi tu nie tylko o posiadanie, ale również o rozporządzanie posiadaną własnością. I to jest druga wskazówka.

Z własnością wiąże się odpowiedzialność za to czy oraz jak z niej korzystamy, bądź oddajemy innym do użytku. I choć niektórzy zobaczą tu pewne podobieństwa, to przede wszystkim daje się zauważyć, że w tym aspekcie jedynie odpowiedzialność jest cechą wspólną. Nie da się ukryć – rodzice, wychowawcy, pedagodzy są odpowiedzialni za bezpieczeństwo, właściwy rozwój i wychowanie oraz naukę swoich podopiecznych. Podopiecznych – nie własności. I to jest trzecia wskazówka.

Myślę, że wszyscy zgodzą się ze stwierdzeniem, że dziecko nie jest pucharem przechodnim, o którym każdy jego chwilowy posiadacz mówi „mój”. Nie jest rośliną, którą pielęgnujemy podlewając, zasilając, stwarzając jej jak najlepsze warunki – choć rzeczywiście dbamy o jego rozwój fizyczny, staramy się stworzyć jak najlepsze warunki do życia (choć różnie bywa rozumiane to pojęcie). Nie jest też stale modyfikowanym urządzeniem, którego coraz to nowsze generacje mają coraz lepszą pamięć, zawartość, możliwości. Choć i tu znajdziemy podobieństwo – dbamy o rozwój intelektualny naszych dzieci, o zasobność jego pamięci, o rozwijanie przeróżnych umiejętności. Czasem nawet próbujemy je wręcz zaprogramować, narzucić mu swój styl życia, punkt widzenia, wytyczyć jego ścieżkę edukacyjną, a następnie drogę kariery.

Czyją własnością jest dziecko? Nie bez powodu to kontrowersyjne pytanie zostało powtórzone. W przytoczonej powyżej anegdotce dziecko odpowiadając na pytanie „A czyjaś ty?” nie mówiło o tym, czyją jest własnością. Ono mówiło o pewnej przynależności. Wszyscy mamy taką potrzebę – przynależności do rodziny, do narodu, jakiegoś konkretnego miejsca na ziemi, ideologii, światopoglądu, zawodu, poziomu wiedzy, inteligencji, zamożności etc., etc..

Rodzice na ogół mają swoją wizję tego, co dla dziecka najlepsze, jak je wychowywać, czego uczyć, aby było mu jak najlepiej w życiu. Czasem respektują jego możliwości, kierują się jego zainteresowaniami i umiejętnościami, modyfikują swoje początkowe plany wobec potomka, aby tylko pomóc mu w harmonijnym rozwoju odpowiadającemu jego potrzebom i możliwością – nawet wtedy, gdy muszą pożegnać się ze swoją pierwotną wizją wychowania dziecka. Czasem jednak sztywno realizują swoje plany, nie zawsze korelujące z tym, czego dziecko chce, co może, co już potrafi. Inną grupę stanowią rodzice nie interesujący się swoim potomstwem, choć również na nie oddziałują – wszak dziecko przez ładnych parę lat uczy się głównie przez naśladowictwo.

Rodzice powinni dać im miłość, ale nie tworzyć ich i wychowywać na własne podobieństwo. Ważne jest, aby dali potomstwu więcej wolności, zapewnili im byt i opiekę, ale pozwalali eksplorować świat. Co jeszcze rodzice mogą dać swojemu potomstwu? Otóż mogą zaopatrzyć je na drogę życia w poczucie własnej wartości, zaradność życiową, empatię i odpowiedzialność za swoje czyny i obserwować jak sobie w nim poradzą. Nie mogą ich wyręczać, gdy tylko pojawi się jakaś przeszkoda. Nie mogą biec na każde ich zawołanie. Rolą rodziców jest wspieranie i towarzyszenie. Nie mogą się obawiać wyprzedzenia przez dziecko, gdyż jest to

dobry znak – pozostawionej potomstwu swobody, umiejętności przekazania im otwartości na świat. Taką postawę gwarantuje rodzina, w której panuje wzajemna życzliwość, porozumienie, akceptacja.

Przychodzi jednak taki moment, że człowiek zaczyna żyć zupełnie samodzielnie. Bywa nawet, że tak daleko od swoich rodziców, że niemal się z nimi nie kontaktuje. Rodzice nadal mówią o dziecku: mój syn, moja córka. Ale nie oznacza to, że dysponują nimi. Owszem bywa, że próbują to robić stosując nacisk psychologiczny, emocjonalny czy ekonomiczny. I niektórym udaje się uzależnić swoje potomstwo od siebie na długie lata. Jednak generalnie dorosłe już dzieci idą swoją drogą. Jak sobie radzą w dorosłym życiu – zależy od wielu czynników, ale przede wszystkim od tego, co wyniosły z rodzinnego domu.

Samo rozstanie z domem rodzinnym, jego przebieg jest uzależniony od tego, jak zostały przygotowane do dorosłego życia. Rodzice już na samym starcie muszą sobie uświadomić, że dziecko nie jest ich własnością i jakie są tego konsekwencje.

Z własnością nierozzerwalnie jest związane poczucie straty. Jeśli dziecko nie jest własnością rodziców, to nie mogą go stracić. Jego odejście z domu będzie dla rodziców stanowiło kolejny etap jego życia – podobnie jak edukacja na różnych poziomach, pójście do pracy. Jeśli jednak rodzic będzie próbował zrealizować swoje niespełnione marzenia, niezaspokojone potrzeby czy lęki nadmierną bliskością, uzależnianiem od siebie przez przekonanie, że potrzeby dziecka mogą zostać zaspokojone tylko przez niego, to wtedy rzeczywiście może stracić dziecko.

Dom rodzinny nie może być więzieniem, koszarami, w których dziecko zostaje poddane nieustannej mustrze. Ma on być azylem, bezpiecznym miejscem pełnym miłości, zrozumienia – miejscem, do którego może zawsze wrócić, otrzymać pomoc, miejscem pełnym miłości i ciepła. Miejscem, w którym przestrzeń dla siebie mogą znaleźć nie tylko dzieci, ale i rodzice. Taki dom, taka rodzina sprawi, że dorosłe dzieci, potrafiące zaspokoić swoje potrzeby, mające swoje życie, będą chciały się tym życiem dzielić ze swoimi rodzicami.

O roli dziecka w rodzinie pięknie mówił Jan Paweł II. W swoich homiliach zachęcał dzieci do budowania dobrego świata, do dzielenia się miłością, budowania zgody i pokoju, do troszczenia się o innych ludzi, jak również do pójścia za głosem własnego powołania. Widział w nich nie czyjąś własność, lecz ludzi tworzących przyszłość, dobrą przyszłość.

Oddajmy jeszcze głos poecie pochodzącemu z innej kultury, z innej mentalności, a jednak w tej kwestii wypowiadającemu się bardzo jednoznacznie i zgodnie z tym, o czym mówią specjaliści z kręgu kultury europejskiej. Khalil Gibran przekazał w swoim wierszu swoiste „credo”, będące wskazówką dla rodziców pragnących dobrze wychować swoje dzieci:

Wasze dzieci nie są waszą własnością,
są synami i córkami samej mocy życia.
Jesteście ich rodzicami, ale nie stworzycielami.
Mieszkają z wami, a mimo wszystko do Was nie należą.
Możecie dać im swą miłość, lecz nie wasze idee,
ponieważ one mają własne.
Możecie dać dom ich ciałom, ale nie ich duszom,
ponieważ ich dusze mieszkają w domu przyszłości,
którego wy nie możecie odwiedzać, nawet w waszych snach.
Możecie wysilać się, by dotrzymać im kroku,
ale nie dążyć, by byli podobni do Was,
ponieważ życie się nie cofa, ani nie może zatrzymać.
Wy jesteście jak łuk, z którego wasze dzieci,
jak żywe strzały, zostały wyrzucone naprzód.
Strzelec mierzy do celu na szlaku nieskończoności
i trzyma cięciwę napiętą całą swą mocą,
żeby strzały mogły poszybować szybko i daleko.
Poddajcie się z radością rękóm Strzelca,
ponieważ on kocha równą miarą i strzały,
które szybują i łuk, który pozostaje niewzruszony.

Niech ten wiersz będzie podsumowaniem rozważań stanowiących próbę odpowiedzi na pytanie zawarte w tytule. Niech pomoże w swoistym résumé naszych działań wychowawczych w stosunku do własnych dzieci i pomoże w ich ewentualnych modyfikacjach.

Opracowała mgr Jolanta Łukasiewicz